

Agnieszka Tarnowska: Boże, daj nam wolność od samego Boga

Tym, co istotnie oddala człowieka od przygody, wyruszenia w nią, zaczęcia na nowo, jest lęk i styl życia obecnych lat. Szybkość i pęd, które sprawiają, że nie sposób w zasadzie znaleźć chwili do wzięcia głębszego oddechu i zdystansowania się od codzienności, wyruszenia, niczym Abraham, w drogę, przed siebie, w dal – pisze Agnieszka Tarnowska w recenzji książki Jordana B. Petersona „My, którzy zmagamy się z Bogiem”.

Cóż warta jest mnogość dóbr, to dobro i tamto dobro? Wyzbądź się tego i tamtego i patrz, jeśli możesz, na dobro samo, a wtedy zobaczysz Boga, który jest dobrem nie dzięki innemu dobru, lecz jest dobrem wszelkich dóbr

Św. Augustyn, *Wyznania*

Jest to książka piękna, bardzo obszerna i w najlepszym tego słowa znaczeniu – interdyscyplinarna. Dość wspomnieć, że blisko trzech miesięcy potrzebowałam, by zagłębić się w jej treść i w zgodzie z intelektualną uczciwością oddać tekst recenzji tej niewątpliwie niełatwej książki. Skoro książka interdyscyplinarna, to zwróćmy uwagę na jakie dziedziny wiedzy możemy w tej książce się natknąć: teologia,

filozofia, historia religii, socjologia, filozofia kultury, patrystyka. Łatwo przewidzieć, na jaki zarzut może narazić się autor i dlaczego czytelnik może nie zechcieć po nią sięgnąć.

Jordan B. Peterson słynie na polskim rynku dzięki książkom „Poza porządek” i „Mapy sensu”. Traktowany jest jako przewodnik na drodze do wiedzy szczególnie wśród młodych mężczyzn zainteresowanych takimi tematami jak wojna płci, konflikty geopolityczne i historia idei politycznych. Dla pełnego obrazu dodam, że po raz pierwszy o Jordanie Petersonie usłyszałam właśnie od mojego kolegi, równolatka w trakcie studiów z dziedziny nauk politycznych, co uzupełnił później dużo starszy znajomy w trakcie studiów na warszawskim Collegium Civitas.

Efekt Lucyfera. Czyli o technologii w codzienności

Z uwagi na objętość i rozmach książki, skupić się jestem zdolna i skłonna tylko na wybranych kwestiach, z mojego punktu widzenia najciekawszych i najważniejszych. Pierwszym z nich wydaje mi się krytyczne spojrzenie na technologię oraz jej wpływ na komunikację w dzisiejszym świecie. Dodam, że książkę charakteryzuje przechodzenie od ogółu do szczegółu, od uniwersalnego do lokalnego. Rozdziały dotyczące historii osób biblijnych i tych z innych wyznań religijnych – Noego, Kaina i Abla, Hagar, Rachel, Abrahama, Maryi, Jonasza, bogini Tiamat i kobiety kananejskiej nie zostają zamknięte w swej oddalonej od człowieka XXI wieku rzeczywistości, lecz płynnie się do niego przedostają i niejako „proszą”, by w ich kontekście obudować, przeczytać, opleść nimi swe jednostkowe, pojedyncze, indywidualne życie.

Teraz kilka słów o technologii, Philipie Zimbardo i o tym jak łączą się wątki z książki Petersona z tymi, które napisał amerykański psycholog. Ten wychowany na Brooklynie pisarz jawi mi się jako bodaj jeden z najciekawszych, ale także niedocenianych myślicieli dzisiejszych czasów. Jego eksperyment więzienny z Uniwersytetu Stanforda to jeden z egzemplarycznych przykładów opisujących stan, w jakim znajdują się społeczeństwa zachodnie. Mowa tu bowiem o tak doskonałym spętaniu technologią zwykłego człowieka, poprzez którą nie widać już w zasadzie przestrzeni wolności i czegoś, co nazwalibyśmy możliwością przekroczenia diabelskiego, zamkniętego kręgu działania. W eksperymencie chodziło o ukazanie, że warunki symulowanego więzienia oraz podział ról na więźniów i strażników jest tak dojmujący w swej formie, że symulacja staje się rzeczywistością. Uczestnicy „żałosnego kawału” stają się prawdziwymi ofiarami zmuszanymi do mycia sedesów gołymi rękami i strajku głodowego, zaś strażnicy przebijają się w mundury khaki, zakładają ciemne okulary i stają się swoistymi sadystami i zadającymi ból oprawcami. Możemy mieć różne podejścia co, do tego jak sama instytucja więzienia wpływa na życie społeczne. Czy rzeczywiście przemienia i resocjalizuje? Nie mi oceniać. Chcę tylko zwrócić uwagę na analogię do technologii, algorytmów i pokłosa sztucznej inteligencji, które z ogromną mocą „pętają” człowieka w swoje sidła, by ukazać jak ściśle zagadnienia pychy, kontroli, uwikłania w sieć, ogranicza zdolność człowieka do decydowania o sobie samym bez udziału natrętnych technologicznych ingerencji. Peterson łączy zresztą – może w sposób przesadny i z lekka pozbawiony umiaru, ale moim zdaniem nie bez racji – technologię i dzikie natręctwo mediów społecznościowych, telefonów i tabletów ze swoistym diabelskim i lucyferycznym odcieniem cywilizacyjnego barbarzyństwa, który przyniósł ze sobą budowę miast, postęp, sieć

kanalizacji, ale również Babilon: nałogi, pijaństwo, rozpustę, sojusz tronu i ołtarza, bezceństwo, wszeteczeństwo, rozkład moralny, zepsucie i zgniliznę.

Przeciąg w głowie, który wywołują media społecznościowe, a chodzi tu o bardzo poważny stan psychofizyczny, który przekłada się na osłabienie kondycji intelektualnej i zdolność do koncentracji i skupienia myśli zaczyna być jedną z najpoważniejszych chorób cywilizacyjnych obecnej doby, która dotyka zarówno młodszych jak i starszych. To nie tylko kwestia dbałości o zdrowie, ale w sensie porządku boskiego i zadanego od Boga planu, także wielkie pytanie o to, czy posługiwanie się sztucznymi artefaktami, ręką ludzką uczynionymi dobrami i oddawanie im nienależnego hołdu, nie czyni nas spętanymi kajdanami niewolnikami rzeczy błahych i małych, które biorą w posiadanie nasze myśli i sprawiają, że nie sposób znaleźć żadnego wyzwającego słowa, które pozwoliłoby postawić skuteczną tamę.

Rodzina? Dziękuję, ja postoję

Niewątpliwym rysem tej książki jest konserwatyzm. Jordan B. Peterson łączy praktykę psychologa z publicystyką polityczną w duchu konserwatywnym. Niecodzienny to mariaż, gdyż psychologów zwykliśmy chyba, choć może błędnie, umieszczać przede wszystkim w orbicie oddziaływania refleksji liberalnej. Ma to miejsce głównie za sprawą pewnej sztampowej wykładni nauki o przeszłości, rozwoju, rodzinie i związkach międzyludzkich. Jego program ideowy zawarty jest w książkach takich jak „Mapy sensu” czy „Poza porządek” lub „12 życiowych zasad”. Jak wspomniałam, moje pierwsze spotkanie z Jordanem Petersonem dokonało się mniej więcej na drugim roku studiów z dziedziny nauk politycznych. Zaczynałam interesować się

dziedziną historii myśli politycznej, idei politycznych i filozofii polityki. Już wówczas Peterson jawił mi się jako przedstawiciel klasycznego amerykańskiego konserwatyzmu. Tweedowa marynarka, mocny amerykański akcent, ukłony w stronę patriarchy i skłonność do argumentacji z męskiego autorytetu („Com napisał, napisałem”) w wyrażaniu zdania na temat spraw publicznych. Na ten wątek zwróciła uwagę Olga Drenda w jednym ze swoich ostatnich felietonów do „Tygodnika Powszechnego”, w którym podkreślała, że nie do końca przychyliła się do niekwestionowanego szacunku dla tego myśliciela publicznego. Wydaje mi się to nie być bez znaczenia, także w kontekście Olgi Drendy, iż jest to psychologizujący filozof, który reprezentuje mocny akcent na męską perspektywę i udział w życiu społecznym. Jednocześnie potrafi przekonująco wskazywać na podobieństwa między pokoleniami, nawet jeśli dzieli je czasowa przepaść. Podejście Olgi Drendy w kwestii Petersona jest mi dziś bliższe, niż stanowisko moich kolegów ze studiów, oddają jednak Kanadyjczykowi należny hołd za niebagatelną pracę intelektu i spojrzenie na sprawy najważniejsze z punktu widzenia współczesnej kultury. Jest to przede wszystkim niewątpliwe zaakcentowanie rodziny i jej roli w życiu społecznym, macierzyństwa, ojcostwa i stawiania na sprawy kluczowe z punktu widzenia reprodukcji i ewolucji naszego gatunku. Na rynku wydawniczym i w środowisku ochoczo debatujących trzydziestolatków znaleźć można wiele zwolenników posiadania rodziny i widzenia utylitarnych przywilejów płynących z tego faktu, lecz jednocześnie tyle samo antagonistów, których argumenty są nie bez racji i których perspektywę rozumiem i szanuję. Nie jest to efekt jedynie egoizmu, lecz często przemyślanej i długofalowej strategii. Choć wchodzi ona w oczywisty konflikt z perspektywą religijną, dla której akcent na prokreację jest jednym z kluczowych składników polityki społecznej, nie sposób zanegować faktu, że i w tym aspekcie znaleźć można przejaw jednego z wielu odcieni tytułowego zmagania się z Bogiem, który często bardziej niż na modłę duchową, czytany jest

na modłę kulturową i społeczną, co sprawia, że z podniebnej otchłani orzeźwiającej transcendencji osuwamy się w duszną, przenikniętą mgławicową chmurą radioaktywnego pyłu czysto ziemską immanencję.

Książka Petersona jest także zaproszeniem do przygody. Punktem wyjścia do tej refleksji jest z kolei historia Abrahama, który w sędziwym wieku wyrusza do Ziemi Obiecanej. Wydaje się, że tym, co istotnie oddala człowieka od przygody, wyruszenia w nią, zaczęcia na nowo, jest lęk i styl życia obecnych lat. Szybkość i pęd, które sprawiają, że nie sposób w zasadzie znaleźć chwili do wzięcia głębszego oddechu i zdystansowania się od codzienności, wyruszenia, niczym Abraham, w drogę, przed siebie, w dal. Tak, by nie brać ani trzosa, ani torby, ani telefonu, ani karty. Może kiedyś nam się uda.

Agnieszka Tarnowska

Jordan B. Peterson, *My, którzy zmagamy się z Bogiem*, przeł. Renata Sigris, Wrocław 2025